

Sztuka, która była potrzebna

Premiera w Teatrze Polskim: „Gałązka Rozmarynu”, pięć obrazów z życia plutonu, Zygmunta Nowakowskiego.

Sztuka p. Nowakowskiego jest z rodzaju tych, przy których rolę krytyka obejmuje publiczność; jej sąd jest decydujący. Jak wypadł tutaj ten sąd, widzieliśmy na premierze: oklaskom nie było końca, śmiech mieszał się ze wzruszeniem, każdy efekt osiągał zamierzoną reakcję. Krytyk za to może ocenić, ile kunsztu jest w tej pozornie łatwej i popularnej sztuce i jak niebezpieczne było przedsięwzięcie, które podjął autor. Dowodem trudności może być fakt, że brak jest prawie zupełnie tego rodzaju sztuk obchodowych, popularno - historycznych, a te które się zjawiają, nie utrzymują się zwykle na afiszu, mimo że są w repertuarze potrzebne i pożądane. Obojętne, „Kościszki pod Racławicami”, napisanego przeszło przed pół wiekiem, to będzie bodaj że ta druga.

Trudności okazały się tym większe, jeżeli sobie uprzytomnimy, jak świeże są wypadki, z których autor wyniósł swoją historię, mającą coś z legendy a coś z reportażu. Wypadki świeże, większość ich uczestników żyje i działa, największy z nich odziedzili ledwie przed paru laty, przeżywszy wojskowym krokiem szlak

wiodący z Oleandrów do grobów królewskich i do nieśmiertelności w Historii. Kunszt autora objawia się zarówno w tym co wprowadził na scenę, jak i w tym, czego na nią nie pokusił się wprowadzać.

„Pięć obrazów z życia plutonu” — brzmi podtytuł sztuki. To skromne ujęcie wielkiego czynu Wodza na odcinku jednego plutonu chroni autora od iluż niebezpieczeństw! Bez troska, młodość, wesołość, tężyzna, sławny humor legionowy, aż kłpią na scenie; piosenka nie milknie nawet wśród huku armat i grania karabinów maszynowych; więcej się mówi o ciepłych gaclach niż o odczytnie, więcej o rumie niż o sławie, chyba że „Sława” jest pseudonimem dzielnej i przystojnej medycy, sanitariuszki plutonu. Utrzymanie tej poufalej i serdecznej prostoty, a równocześnie spowicie jej w atmosferę wzniosłości, o której się nie mówi ale której powiew wciąga się czuje — to również wielki kunszt autora.

Całość rozplanowana jest na pięć obrazów. Pierwszy, to sceny przed białym komisją poborową w „Oleandrach”, zamaszyste, wesołe, pełne humoru. Aktor, malarz, fryzjer, student, profesor, murarz, hrabia, góral i tłum innych, tłoczą się tu, żartują, przekomarzają się — zanim mundur legionowy zniweluje różni-

ce stanów i wprowadzi nowe wartościowanie jednostek. Drugi obraz, to wejście do Kielc; kłopoty właściciela cukierni ostrożnie i nieśmiało zamalowującego szyld rosyjski, gdy tymczasem jego kilkunastoletni syn już się zaciąga do Legionów; wygalowane łaziki, strachajły i politycy kawiarzami, kobiety entuzjazmem wyprzedzające mężczyzn — znów obrazek wesoły, ruch i życie.



Scena zbiorowa.

Ale kulminacyjnym punktem jest obraz trzeci, w jakimś wpółrozwalonym młynie, gdzie w pełni walki jesienią, obozuje nasz pluton. Przebudzenie, ranne pogwarki i żarciki odczytywanie dziennika wykradzionego studentowi a zawierającego charakterystyki żołnierzy plutonu, śmiechy, dąsy, zacny zakonnik-kapelan, który bezwiednie nastąpił gwarą i nerowami „leguna”, jakim

chłop biedaczyna wyrwany austriackim zbirom chciwym żeru dla szubienicy; generał austriacki wreszcie, zachodzący aby naocznie obejrzyć ten legendarny pluton, któremu w rozkazie dziennym oddał pochwały; miłość nawiązująca się między panną Sławą a dzielnym i urodziwym synem ludu — i wreszcie patetyczny finał, gdy wśród huku szrapneli tworny legun - arystokrata, które-

osiągnięciem autora w zakresie efektu.

Bo nie ma co ukrywać. „Nie gra się w szachy szlachetnością duszy”, powiedział ktoś. Podobnie, sztuk teatralnych mających wzruszyć nie pisze się samym sercem. W tym rzecz, że jednym okiem może autor uronić łezkę, ale równocześnie drugim trzeba mu ogarnąć wszystko i bezbłędnie manipulować sześćdziesięcioma osobami zespołu, sprawdzać gdzie kto stoi i jak układają się grupy, i zerkać ku publiczności, sprawdzając, co ją bierze. Tej zręczności nie zbywa doświadczonemu człowiekowi teatru, jakim jest Z. Nowakowski; raczej ma jej tu chwilami aż za dużo. Można by mieć wrażenie, że on sobie skatologował wszystkie niezawodne efekty, i potem je dawkuje i rozmieszcza, bacząc aby ani jednego nie przepuścić. Znamienne jest, że wśród publiczności słyszałem parokrotnie — niezależnie od siebie wzajem — historyczne słowa cesarza Franciszka Józefa: „Nichts wurde mir erspart — Niczego mi nie oszczędzono”. Kiedy tuż po bohaterskiej śmierci murarczyka, który wyrwał się z okopów aby przynieść drzewko wigilijne, byliśmy świadkami, jak stary chłop, wzięty przez legunów do niewoli, poznaje wśród nich swego syna, gotowi byliśmy błagać autora o pardon. Bo już zjawia się z pobliskiej chałupy żona owego chłopca, aby, ugodzona granatem, urodzić mu w okopach drugiego syna? I w przeciwstawieniu do tej słowiańskiej rozlewności, przychodził nam — przez porównanie — na myśl oszczędny i wstydlivy w efektach, angielski i gentlemani „Kres wędrowki”.

Finał trzeciego obrazu stanowił kulminacyjny punkt sztuki, maks-

mum szlachetnego patosu. Następny obraz — bitwa w okopach — praży nas huraganowym ogniem, ale nie jest już w stanie porwać nas wyżej, niż to uczyniła heroiczna etiuda Chopina. Aż ostatni znowu obraz sprowadza nas z wielkim kunsztem do pogodnego nastroju. Przebyliśmy z tym plutonem lato, jesień, zimą — teraz nadchodzi wiosna. Ta wiosna ma coś radosnego, jak gdyby już niosła powiew wolności, odrodzenia. Nasz pluton zażywa zasłużonego wypoczynku; każdy odnajduje coś ze swojej duszy cywila: aktor uczy wiejskie dzieci śpiewać chórem, bacząc pilnie aby wymawiały „na maskę”; góral pomaga orać, malarz szkicuje herkulesowego murarza, który mu służy za modela; ciocia odnalazła siostrzeńca... Ale zarazem w powietrzu unosi się dreszczek oczekiwania. ON ma się zjawić; obiecał przybyć na mecz footballowy. I w pewnym momencie robi się ruch, wszystko zrywa się, przeży się jak struna — ale zanim wejdzie ON, kurtyna wolno zapada. Czujemy jedynie zbliżanie się Wielkości, ale też dobroduszej, uśmiechniętej pod wase — na meczu footballowym. Z wielką pewnością ręki autor wytrzymał do końca ton, jaki sobie ustalił.

Ta sztuka, której tematem jest bohaterstwo, obywatela się bez „bohatera”, a raczej bohaterem jej jest — pluton. Niemniej przewija się w tym zbiorowym życiu plutonu parę motywów indywidualnych, zużytych z nierównym szczęściem przez autora. Jeden, to motyw buffo komendanta plutonu i jego cioci, wyzyskany bardzo dowcipnie. Dzielny komendant Wilk, klnąc na niepamięć rodzinny, chodzi bez koszuli, gdy równocześnie ciocia jego spod Stanisławowa szuka go przez wszystkie dółki z cuki-

paczką jedwabnych koszul, ciepłych kalesonów, rumu, wędlin, ciastek, i obarcza nimi zacnego kapelana, który, nie mogąc rozpoznać bezwąsego ciocinego synka w brodatym i marsowym komendancie, rozłoso- wuje paczkę tuż pod jego boki- em. Ten kapelan, wyretuszowany z sien- kiewiczowskim zacięciem, raz po raz budzący życzliwą wesołość, tworzy sympatyczną jasną plamę w obra- zie. Druga historia, to biedny stu- dent kaleka, pechowiec, bohaterska i zająca ofierma, który, utykając na nogę i nie mogąc dogonić plutonu, ginie od nieprzyjacielskiej kuli... Trzeci — trochę presentymentalizo- wany — to młody murarz, nękan- y wyrzutami sumienia z powodu śmierci kolegi zabitego — jeszcze w cywilu — w zwadzie; ten, nie mo- gąc ukoić swego sumienia, sam szu- ka śmierci i znajduje ją... Czwarty wreszcie, góral Juhas, wnosi w ży- cie tego plutonu ton żartobliwo-mi- łośny, ale słabo wytrzymujący kryte- ria rozsądku. To młody lekarz, dok- tór szwajcarskiego uniwersytetu, gó- rał z pochodzenia, który zaciąga się jako prosty żołnierz, od początku do końca ukrywa swój tytuł doktor- ski i swoje wykształcenie, aby w charakterze prostego chłopca dosłu- żyć się stopnia oficera a w naddat- ku zdobyć miłość dzielnej panny Sławy. Coś nas z tym razi, jest coś niezrozumiałego a nawet prawie że niełojalnego w tej komedii granej w stosunku do kolegów i w stosunku do ukochanej. Ileż razy ten „Ju- has“ musiał się znaleźć w położe- niu, gdy jego wiedza lekarska mo- gła być potrzebna i musiał się wstrzymać aby się z nią nie zdra- dzić! I właściwie po co: czy po to ten jego dyplom, aby pannie Sławie oświecić megaliansu?

Ale publiczność nie wgląda tak ściśle. Może niejeden widz w ogóle nie zauważy tej skomplikowanej hi- storii. Sprawy indywidualne jedno- stek idą tu na bok, są nieważne, jednostką jest tu — pluton.

A teraz — przedstawienie. Zwa- żywszy bogatą osobowość samego autora, uderzyć nas tu może iż p. Nowakowski, aktor, reżyser, dyrek- tor teatru, nie skusił się ani na to aby zagrać którą z ról w swojej sztuce, ani aby objąć jej reżyserię. Oddał ją w ręce p. Węgierki. I z pewnością nie mógł jej oddać w lepsze ręce. Rzecz jest przygotowa- na i wystawiona po mistrzowsku. Trzeba znać teatr, aby ocenić, jak tu jest starannie wypracowany każ- dy szczegół, jak wybornie potem za- tarte są ślady mozolnej pracy, tak aby wszystko szło składnie, lekko, dowcipnie i wesoło. Tłum kilkun- sięciu osób żyje na scenie; ani je- den moment nie pozostaje martwy; taka na przykład niebezpieczna sce- na jak czytanie pamiętnika studen- ta jest arcydziełem gry zespołu.

Cóż powiedzieć o aktorach? Każ- dy z nich jest tak na swoim miejscu i daje typ tak żywy, że, aby nikogo nie skrzywdzić, trzeba by wyliczyć cały afisz, a zajmuje trzy stronicel! Węc pp. Ziejewski, Kondradt, Kre- czmar, Roland, Woszczerowicz, Ka- czmarek, Pichelski, Malkiewiczów- na, Buczyńska, Chodecki, Woskow- ski, Chmielewski, Lydia Wysocka, Małkowski, Krzewiński, Żeleński i — wielu innych.

Obecnego na premierze autora wywoływano po każdym akcie. Do- rażny sukces sztuki i trwałość jej w repertuarze zdają się rzeczą roz- strzygniętą.

Tadeusz Żeleński (Boy).